NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 17700·— Mk. z przes. 18500·—Mk. Półrocznie 37000·— Mk. Rocznie 74000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Redakcja otwarta dla stron od 10—12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Numer pojedynczy 1500 Marek

Rok XX. Kraków, 2 czerwca 1923. Nr. 22.

Bomba w Uniwersytecie warszawskim



Zdemolowany wybuchem lokal Bratniej Pomocy

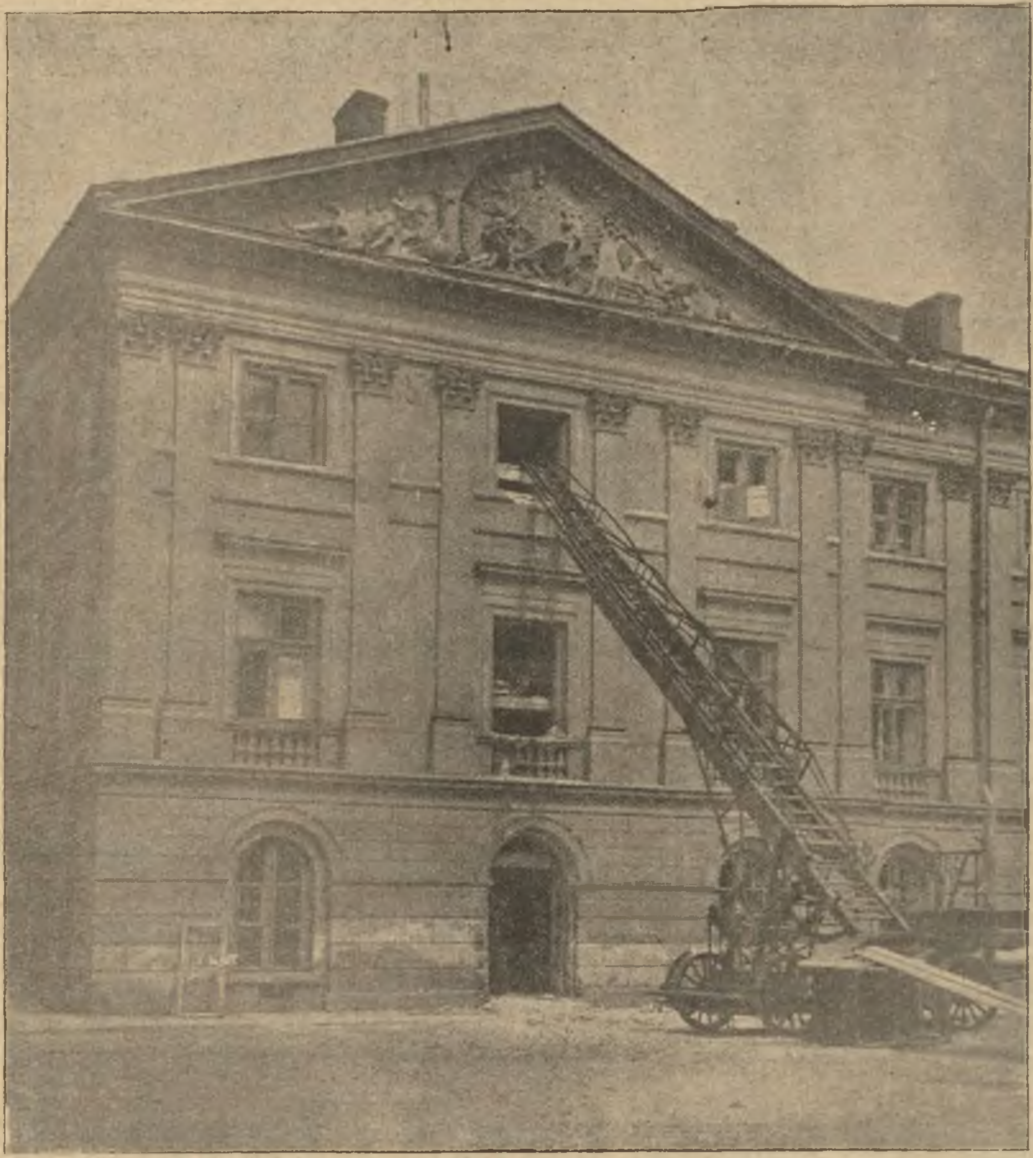
Bomba w Uniwersytecie warszawskim.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekście).

Po zamachu krakowskim przyszła kolej na zamachy w Warszawie. O ile bomba podłożona pod administracyę „Rzeczypospolitej“ przy ul. Szpitalnej, nie pociągnęła na szczęście ofiar w ludziach, to dokonany dnia następnego zamach w Uniwersytecie warszawskim wywołał olbrzymie spustoszenia i spowodował śmierć ś. p. prof. Romana Orzęckiego. Toteż zamach ten wywołał powszechne oburzenie w całej Polsce przeciw sprawcom tej niecnej zbrodni. Niewątpliwie działały tu te same koła komunistyczne, co i w Krakowie, którym zależy na sianiu anarchii w Polsce.



Bomba w Uniwersytecie warszawskim: Ofiara wybuchu ś. p. prof. Roman Orzęcki.



Bomba w Uniwersytecie warszawskim: Zewnętrzny widok gmachu uniwersyteckiego, w którym nastąpił wybuch.

Wybuch nastąpił około g. 9-tej wieczorem. Zaniepokojony swędem na schodach prof. Orzęcki wyszedł ze swego mieszkania w bocznym pawilonie, gdzie mieszczą się seminarya Tow. Bratniej Pomocy i mieszkania profesorów. Wraz z nim schodził syn jego, zatrzymał się jednak na schodach, rozmawiając ze studentką, która wychodziła z jednego z seminaryów. W tym trakcie prof. Orzęcki zeszedł z pierwszego piętra na parter, i gdy stanął na podłodze sieni, nastąpił straszny wybuch, który wyrwał podłogę i zburzył schody, tak, iż syn profesora, wraz ze spotkaną studentką zostali odcięci na 1-em piętrze. Przez otwór wpadł do piwnicy poszarpany wybuchem prof. Orzęcki.

Siła wybuchu była tak straszna, że cała sień uległa zniszczeniu, a drzwi, prowadzące do przyległego składziku uniwersyteckiego, zostały wraz z futryną wyrwane. Pokój, w którym znajduje się skład, został do połowy wysokości zawalony cegłami i gruzem tynkowym.



Bomba w Uniwersytecie warszawskim: Jednа z ubikacyi „Bratniej Pomocy“ po wybuchu.



Rząd polskiej większości: Ustępujący premier jenerał Sikorski.

Drzwi, wiodące z tejże sieni do sekcyi wydawniczej Tow. Bratniej Pomocy, zostały również wysadzone z zawias, a cała ściana, granicząca z pokojem prezydyum Tow. Bratniej Pomocy, runęła naprzód.

W pokoju tym znajdowali się podówczas członkowie sądu koleżeńskiego Bratniej Pomocy. Dwaj z nich, pp. Czaykowski i Godziejewski, siedzieli na otomanie pod ścianą, która runęła i tylko dzięki wielkiej sile wybuchu, oraz ochraniającemu plecy tylnemu oparciu otomany, wyszli cało z niebezpieczeństwa. Cegły runęły górą, nad głowami siedzących, tak, iż zostali oni tylko częściowo zasypani gruzem i zlekka potłuczeni.

Jeden z nich, p. Czaykowski, opowiada, że w kilka sekund po wybuchu, ogłuszony i zdezoryentowany, usłyszał jęki, dochodzące go przez wywalony otwór w sieni. Jednocześnie usłyszał jęki syn prof. Orzęckiego, który, stojąc w oknie na pierwszem piętrze i nie mogąc zejść na dół, wołał:

— Dajcie mi drabinę, tam ktoś jęczy na dole!

Studenci, będący w lokalu prezydyum, wydostali się z gruzowiska, jakie przedstawiał pokój, i zaalarmowali Pogotowie ratunkowe, straż ogniową i komisaryat I-szy policyi państwowej. Jednocześnie nadbiegli asystent geologii p. Łuniewski i trzech policyantów, którzy przy pomocy woźnych i studentów wydobyli z piwnicy rannego prof. Orzęckiego. Pierwsze jego słowa były:

— Ostrożnie, bo mam poszarpane nogi.

A gdy go następnie położono w celu zatamowania krwi, poprosił o poduszkę.

Obie nogi nieszczęśliwej ofiary nikczemnej zbrodni zostały literalnie urwane. Przewieziony natychmiast do szpitala św. Rocha profesor w kilka godzin życie zakończył.

Rząd polskiej większości.

Powołany w chwili krytycznej dla państwa po zamordowaniu prezydenta ś. p. Narutowicza rząd jen. Sikorskiego ustąpił. Na skutek porozumienia czterech stronnictw polskich: Zw. Lud. Narod., Chrześciańskiego Stronnictwa Narodowego, Chrześciańskiej Demokracyi i „Piasta" powstała w Sejmie większość, która rozpoczyna nowy okres rządów w Polsce. Po otrzymaniu od tej większości sejmowej votum nieufności na sobotniem posiedzeniu Sejmu, jen. Sikorski podał się wraz z całym gabinetem do dymisyi. Prez. Wojciechowski dymisyę przyjął a utworzenie gabinetu powierzył Witosowi. Tak trzeźwy, realny i rozumny polityk, jakim jest Witos, daje gwarancyę, że utworzony przez niego a oparty o większość Sejmu rząd parlamentarny zdoła przezwyciężyć wszelkie trudności i poprowadzi państwo ku jasnej przyszłości.



Rząd polskiej większości: Wincenty Witos, prezydent gabinetu, opartego na większości prawicowo-piastowskiej.

Bank Małopolski Sp. Akc. w Krakowie.

O rozwoju ekonomicznym, o sile finansowej państwa — najwymowniejsze świadectwo składają wielkie przedsiębiorstwa, fabryki, instytucje, wśród których najważniejsze miejsce zajmują — banki.

Oczywiście mamy tu na myśli wielkie, solidne instytucye finansowe, oparte na zdrowych zasadach, spełniające należycie swe ekonomiczno-społeczne zadania.

Dnia 17-go maja 1923 odbyło się pod przewodnictwem p. Jana bar. Götza Okocimskiego, roczne Walne Zgromadzenie Banku Małopolskiego, na którem Dyrekcya przedłożyła bilans za rok 1922, który zamknięty został z zyskiem 448,346.107. Wyczerpujące sprawozdanie, jakie złożył Walnemu Zgromadzeniu Naczelny Dyrektor p. Albert Ungar, świadczy o szybko postępującym rozwoju Banku Małopolskiego i chlubnej jego działalności w akcyi uprzemysłowienia kraju. Dzięki mądrej polityce finansowej nietylko utrzymał Bank Małopolski swój dawny stan posiadania w licznych finansowanych przez tą instytucyę placówkach przemysłowych, lecz zaznaczył także ekspanzyę na polu rozwoju przemysłu także w innych dawnych dzielnicach Polski. Ta prawdziwie obywatelska praca jak wynika z wygłoszonego przez Dyr. p. Ungara sprawozdania rozwijała się wśród ciężkich warunków, wywołanych przez postępującą ciągle dewaluacyę. Wszystkie niemal przedsiębiorstwa odczuwały brak kapitałów obrotowych, zmuszone także były do znacznego podnoszenia kapitałów akcyjnych.



Bank Małopolski Sp. Akc. w Krakowie: Grono uczestników, członków Rady nadzorczej i Dyrekcyi biorących udział w uroczystości poświęcenia lokalu Banku.

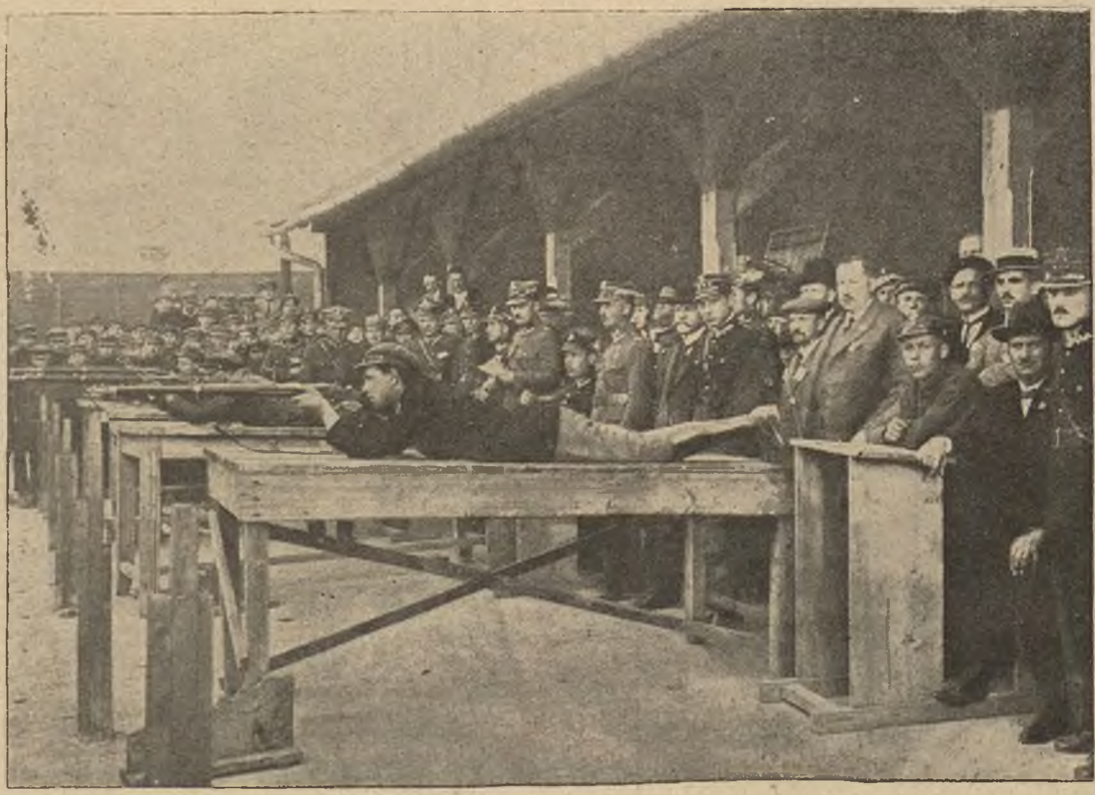
O poważnym rozwoju całokształtu interesów bankowych świadczy uchwalona do wypłaty w dniu 21 lipca 1923, dywidenda w wysokości 30%, tj. Mkp. 84, oraz tak zwane bonus w wysokości Mkp. 56. Zatem na każdy kupon płatny 1-go lipca 1923 przypadnie do wypłaty kwota Mkp. 140 tj. 50%.

Pomimo ciężkich bardzo warunków targu pieniężnego, które ujemnie oddziaływać musiały na bieg interesów, jednakowoż cyfry bilansowe roku ubiegłego wykazują znaczny rozwój Banku Małopolskiego. Suma bilansowa podniosła się bowiem w porównaniu z minionym rokiem sprawozdawczym z Mkp. 6.523,347.953.90 na Mkp. 22.603.991.441.34 czyli wzrosła o 246%.

Olbrzymi rozrost tej instytucyi zmusił do rozbudowy gmachu Centrali. Budynek frontowy podniesiono o jedno piętro, zaś na jego tyłach wybudowano trzypiętrową oficynę, a w podworcu powstała wielka oszklona hala, gdzie umieszczono kantory. Poświęcenia nowych tych lokali, dokonano w obecności niemal wszystkich członków Rady Nadzorczej, Dyrekcyi i gremialnie zebranego personalu.

Po akcie poświęcenia przemówił ks. Infułat Wądolny. Podnosząc zasługi tej instytucyi w akcyi uprzemysłowienia kraju, złożył życzenia dalszego rozwoju i owocnej obywatelskiej pracy. Prezes Rady Nadzorczej p. Jan bar. Götz Okocimski, złożywszy podziękowanie ks. Infułatowi Wądolnemu, skreślił w krótkości historyczny rozwój instytucyi założonej w roku 1869, a przechodząc do obecnej chwili podniósł, że dowodem postępującego ciągle rozwoju jest rozbudowa gmachu Centrali. Jest to zasługą Dyrekcyi i całego zespołu urzędniczego cieszących się pełnem zaufaniem i uznaniem Rady Nadzorczej. W dalszem przemówieniu wspomniał prezes o wielkich trudnościach wśród których zaznaczył się tak doniosły rozwój instytucyi, a do tego było potrzeba wielkiego doświadczenia Dyrekcyi i liczenia się z konsekwencyami, aby nie stracić z oka jasno i stanowczo określonej drogi.

W historycznej tej dla Instytucyi uroczystości wzięli udział pp. Zdzisław hr. Tarnowski, Prez. Jan Kanty Steczkowski, Prez. Jan Kanty Federowicz, Dr. Tadeusz Bednarski, Dyr. Dr. Tadeusz Starzewski, Dr. Ignacy Steinhaus, Aleksander Lednicki, Michał Pohoski, Mieczysław Markiewicz, Dr. Edmund Kaleta, Tadeusz Sroczyński, st. Radca Skarbu Kurek.



Z życia naszych Strzelców: Strzelanie konkursowe Zw. Strzeleckiego w Nowym Sączu. Fot. Fr. Pach, Nowy Sącz.



Zgon znanego parlamentarzysty: Ś. p. Wincenty Jabłoński, b. poseł do austryackiego parlamentu.



Z życia naszych Strzelców: Grupa nowo-sądeckich Strzelców, biorących udział w konkursowem strzelaniu, wraz z kierownikami. Fot. Fr. Pach, Nowy Sącz.

JADWIGA MIGOWA.

Dom, którego nie było...

2) Historya osobliwa.

ROZDZIAŁ III.

W Dolinie Krokusów.

Zmierzch zasnuwał już siną oponą góry, kładł się na dachach domów, pełzał nisko po ziemi — gdy autobus znalazł się na drodze obramowanej z dwóch stron polami kwitnących krokusów. Przed chwilą jeszcze zielone łodygi ziemniaków, pastwiska, drzewa przydrożne, a nagle za zakrętem gościńca otwarło się morze niebieskich kielichów kwietnych... Żadnych drzew... żadnych innych kwiatów.. żadnych pól uprawnych... tylko krokusy.. krokusy i krokusy...

— Dolina Krokusów zasługuje na swoją nazwę — zauważył Korabiec.

— O! tak — odparła Dorota — i willa „Uroczysko" także na swoją...

— A może tam straszy? — zażartował.

— Kto się nie boi, dla tego niema strachów... — odparła piękna panna.

— Wszystko co pani mówi jest tak niezwykłe, niespodziane... W pani niema cienia banalności...

— Czyż po to pan przyjechał do Doliny Krokusów, aby spotkać banalność? W takim razie niech pan zawróci odrazu...

— Nie zawrócę! choćbym tu miał spotkać — śmierć!...

Przechyliła lekko głowę. Nie mógł zaobserwować wyrazu jej twarzy, ale czuł, że się uśmiechnęła swoim dziwnym, niezgłębionym uśmiechem.

Mijali schludne, małe, białe domki niepodobne wcale do zwykłych domków góralskich. Korabiec przypomniał sobie, że podobne budowle widział w czasie jednej ze swych podróży w starych uliczkach Norymbergii. Nie zastanawiał się nawet nad tem, skąd na Podhale zakradł się ten styl architektoniczny, przestawał się dziwić... Zaczynał rozumieć, że Dolina Krokusów o tyle różną jest od wszystkich innych miejscowości świata — ile Dorota Odrowążanka od wszystkich innych kobiet.

Nie zdziwił się wcale, gdy bez słowa wytłómaczenia opuściła go przed wejściem do willi... Zobaczył ją zresztą za minutę... Stała na werandzie obok kobiety wysokiej, bladej, jednookiej, ubranej w czarne, powłóczyste szaty... Dorota zrzuciła już z siebie podróżny angielski kostyum, a przywdziała teraz strój, który Korabcowi przypomniał damy ze starych portretów... Gdyby się mógł jeszcze zdziwić — zdziwiłby się może, że tak szybko się przebrała... Ale zatracił już tę zdolność i wszystko co go spotykało, przyjmował jako rzeczy naturalne, same przez się zrozumiałe...

— Oto gospodyni nasza — pani Morska — wyrzekła Dorota.

Pani Morska jedyne swoje oko — przepiękne, modre jak toń jeziora — utkwiła w twarzy gościa, który bez słowa podał jej pierścień.

— Czekaliśmy pana — powiedziała i zwracając się do Doroty Odrowążanki dodała:

— Prowadź pana, Doroto, na taras. Tam już wszyscy nasi czekają...

— Może mógłbym się przedtem przebrać i trochę odświeżyć z podróży?...

— Czy pan zmęczony?

— Bynajmniej. Zwykle podróż mnie męczy, ale dzisiał czuję się niezwykle rzeźki...

— To powietrze Doliny Krokusów...

— Ale zawsze chciałbym zmienić ubranie...

— To potem... potem... Tam czekają na pana.

— Na mnie?... Czy uwiadomiono państwa o mojem przybyciu?

— Tak. uwiadomiono nas...

Korabiec nie pytał: kto?...

Służący w stroju hajduka dawnych wieków — zabrał walizkę Korabca, aby ją zanieść do przeznaczonego dla gościa pokoju.

Na tarasie, skąd roztaczał się widok na góry, na hale i na pola krokusów — towarzystwo złożone z kilkunastu osób otaczało stół lśniący białością obrusa, srebrem i kryształami zastawy. W smukłych kielichach kryształowych krokusy przed każdem nakryciem... Białe światło elektryczne z olbrzymich żyrandoli spływało na głowy piękne, rasowe, dziwne...

Gospodyni przedstawiała:

— Księżna Beata Ostrogska... pani Włodkowa... panna Maryna Mniszkówna... pan Zborowski... pan Stadnicki... pan Zebrzydowski... pan Kmita...

Urwała na krótką chwilę i dokończyła prezentacyi:

— Profesor Twardowski, a oto... jego przyjaciel... dr. Henryk Faust... Naszego nowego gościa przedstawiać nie mam potrzeby... Wszak znacie go państwo?

— Znamy!... znamy!... — odpowiedziano chóralnie.

Aktor skłonił się nisko. Wszystkie osoby, które widział teraz przed sobą, przybrane były w szaty, nie mające nic wspólnego z współczesnym żurnalem mód... A jednak ani biała kryza dra Fausta, ani szafirowy aksamitny żupan Zborowskiego, ani złotolita perłami naszywana siatka księżnej Beaty Ostrogskiej — nie przypominały ani teatru ani maskarady...

Tak to wyglądało naturalne — jakby inaczej być nie mogło...

Korabcowi wyznaczono miejsce obok Doroty Odrowążanki, co go napełniło uczuciem niewypowiedzianej błogości.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Zygmunt obudził się następnego dnia rano — rzeźki, świeży i wypoczęty... Całą noc dręczyły go dziwne widziadła senne... W snach jego przewijały się osoby, które poznał w willi „Uroczysko" — ale jakieś inne — groźne, ponure, złowieszcze... Nawet Dorota Odrowążanka straciła anielskość spojrzenia i straszyła go obliczem blado-sinem, wykrzywionem męką i furyą.

Ale zaledwie otworzył oczy — pierzchły zmory, widma przestrach, groza... Przeciwnie ogarnęła go taka radość życia, jakiej nie doświadczał od dawna, a może nigdy jeszcze....

Zadzwonił, a gdy na srebnej tacy wniesiono mu obfite i apetyczne śniadanie — przypomniał sobie, że ma pisać listy...

Zapytał służącego:

— Macie tutaj kartki z widokami Doliny Krokusów?

— Mamy.

— Z willą „Uroczysko"?

— Tak jest.

— To proszę mi przynieść dwie.

— Natychmiast, proszę pana.

— A czy poczta daleko stąd?

— Niedaleko, ale po co się pan ma trudzić... ja listy odniosę.

— Dziękuję ci, mój drogi. No, masz tutaj — na piwo.

Służący ukłonił się ale pieniędzy nie dotknął:

— Dziękuję, ale mnie nie trzeba pieniędzy...

— Ha! szczęśliwy człowiek! — zaśmiał się Korabiec — nie potrzebuje pieniędzy!... Ja zaś ciągle ich potrzebuję i dlatego muszę napisać do dyrektora teatru i do kierownika „Stellafilmu".

Służący wyszedł, ale wkrótce powrócił, niosąc kartki z widokami willi „Uroczysko".

— Oto są kartki.

— To dobrze. A czy łazienkę tutaj macie?

— Naturalnie, i to elektrycznie ogrzewaną.

— Proszę!.. proszę!... co za komfort!...

— My tutaj mamy wszystko, co panu może być potrzebne... — odrzekł służący i wysunął się bezszelestnie z pokoju...

— Jak w tym domu ludzie cicho chodzą!... Nie słychać żadnych kroków... Zupełnie jakby to były jakieś astralne istoty...

I zasiadł do pisania listów. Jedną kartkę zaadresował do dyrektora teatru, drugą do Reny Zanetoni, list zaś do kierownika „Stellafilmu" napisał na papierze z monogramem, który przywiózł ze sobą.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Korabiec znalazł w bibliotece willi egzemplarze wszystkich dramatów, w których grywał role popisowe. Wziął ze sobą „Mazepę" i raz jeszcze przestudyowawszy rolę wojewody — postanowił zagrać scenę z królem dla swoich nowych przyjaciół. Bo wszyscy mieszkańcy willi „Uroczysko" byli jego przyjaciółmi — zdawało mu się, że odnalazł w nich najbliższą rodzinę, że odnalazł w nich samego siebie...

Po obiedzie, gdy już podano torty przepyszne i wina — bez żadnych wstępów i omówień zaczął deklamować. Gdy doszedł do słów:

„Tylko na mym dworze
Nieprzestąpiony jeden próg tobie położę".

Całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem. Śmiał się pan Zborowski, śmiała się księżna Beata, śmiał się poważny profesor Twardowski, zanosiła się od śmiechu Dorota Odrowążanka. Korabiec osłupiał. Takiego efektu nie spodziewał się zaiste.

— Państwo śmiejecie się? — wybąkał — Czy tak źle gram?

— Pan gra doskonale, ale to parodya...

— Parodya?

— Tak!... parodya prawdy!...

Korabiec zwiesił głowę posępnie. Ale Dorota Odrowążanka dotknęła jego ramienia i szepnęła słodko:

— Nie martw się..

— Napij się znami tego wina — rzekł Stadnicki — pamiętaj — in vino veritas!...

Korabiec wychylił kielich ciemno złocistego płynu o smaku tak osobliwym, że podobnego jeszcze nie kosztował... Słodkie było, pachnące, a tak mocne, że aktor, który słynął zawsze z „tęgiej głowy" wśród kolegów, po jednym kielichu uczuł zawrót głowy... Niby nie był pijany, a jednak wszystko co widział przed sobą mogło być tylko majaczeniem umysłu zamroczonego zbyt silnym trunkiem.

Widział księżnę Beatę Ostrogską, pędzącą na czele zbrojnych pachołków... Płoną jej oczy ogniem namiętności, włosy rozwiane...

Pan Zborowski klęka na czerwonem suknie i piękną głowę swoją kładzie pod topór katowski.

Panna Mniszkówna w komnatach Kremlu, w szatach carycy rządzi i panuje..

Pan Stadnicki otoczony tłumem zbrojnych ludzi w kontuszach, o twarzach dzikich i hulaszczych — podnosi szablę w górę, wskazując na dworzyszcze, które trawią płomienie..

Pani Włodkowa w męskim stroju przy szabli, śmieje się szydersko w twarz ludziom, którzy na jej łabędzią, białą szyję rzucają stryczek...

W wspaniałych szatach, lśniących klejnotami — pan Kmita — przemawia w sali sejmowej, spoglądając zuchwale w twarz młodemu królowi.

Profesor Twardowski i dr. Faust schyleni nad tyglami, z których wydobywają się kłęby dymu, układając się w kształty jakichś dziwnych postaci.

Padają słowa straszne a potężne, nigdy nie zasłyszane,. Grają namiętności dzikie a wielkie... Pręży się do czynu wola niepohamowana... Płoną dwory... leje się krew... wyrastają mury klasztorne... piękne, wypieszczone ciało dumnej magnatki przyobleka się włosienicą...

Tak się coś Korabcowi majaczy... majaczy...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Korabiec zaczynał się niepokoić tem, że na swoje listy nie otrzymuje żadnej odpowiedzi. Zatelegrafował raz i drugi — milczenie... Zniecierpliwiło go to, a przytem potrzebował pieniędzy.

— Czy oni tam pomarli? Czy zapomnieli o mnie? — irytował się.

Postanowił wyjechać — pomimo, że w Dolinie Krokusów było mu dobrze... nad wszelki wyraz dobrze i swojsko, a towarzystwo Doroty Odrowążanki stanowiło dlań źródło najsubtelniejszych duchowych rozkoszy.

— Muszę wyjechać — rzekł do niej — a tak mi żal... Czy pani długo tu jeszcze zostaje?

— O! my się jeszcze spotkamy... Gdy pan zatęskni — proszę poszukać Doroty Odrowążanki w jej zamku — w Lanckoronie...

— Nie omieszkam skorzystać z tego zaproszenia...

Ujął jej rękę i uścisnął w swojej dłoni mocno... Dorota pochyliła się i dotknęła ustami czoła aktora... A wargi jej były zimne — jak wargi trupa.

ROZDZIAŁ IV.

Pierścień z piekła.

Dyrektor teatru zasypał Korabca gradem wymówek:

— Człowieku!.. co pan wyprawiał!.. Piszemy!... telegrafujemy!... Listy i telegramy wracają!... Dlaczego pan u licha podał fałszywy adres?!

— Bynajmniej! podałem najdokładniejszy adres: „Dolina Krokusów, willa „Uroczysko".

— Panie! nie kpij pan ze mnie! No rozumiesz, domyślam się — jakaś eskapada miłosna... chciał pan zachować incognito, ale mnie mógł pan przecież zaufać... Jabym pana nie zdradził!...

— Dlaczego pan mówi, że z pana kpię?
— Bo przecież żadnej Doliny Krokusów niema w całej Polsce, a może i na całym świecie!... Dolina Krokusów — jak pan to sobie ładnie i poetycznie wymyślił.
— Ależ ja nic nie wymyśliłem... Dolina Krokusów istnieje!... Godzina drogi autobusem z Nowego Targu...
— Cha!... cha!... cha!... opowiadaj pan zdrów, a wszystkie listy i telegramy wracały z dopiskiem: „miejscowość nieznana".
— To niemożliwe!... albo jakieś niedołęstwo naszej poczty...
— Niechże i tak będzie, kiedy się pan tak upiera przy swojem!... — kapitulował dyrektor — zachowaj pan swoją tajemnicę... Dobrze, że pan już jest, możemy rozpocząć próby ze „Zborowskich"... Pan oczywiście gra Samuela Zborowskiego...
— Korabcowi zaświeciły oczy:
— O! dyrektorze!... ja dopiero teraz wiem, jak trzeba grać Samuela Zborowskiego!... Zobaczy dyrektor!... zobaczycie wszyscy!...
— Dzisiaj po południu czytana próba... O 4-tej... Tylko punktualnie, kochany panie Zygmuncie...
— Nie spóźnię się.. A czy dyrektor dostał moją kartkę z widokiem Doliny Krokusów?
— Przestańże pan drwić z rodzonego dyrektora!... Miałem dostać kartkę z widokiem miejscowości, która nie istnieje!...
— Dolina Krokusów istnieje!... to najcudniejszy zakątek ziemi!...
— Oszalał chłopak, czy co z tą urojoną Doliną Krokusów?... Tylko się pan na próbę nie spóźnij!...
Gdy Korabiec zjawił się w teatrze — jeszcze przed 4-tą godziną — koledzy przyjęli go okrzykami, a Rena wybuchem wściekłego gniewu.
— Ślicznieś się spisał!... Mnie!... mnie tak w pole wyprowadzić!... Podać mi jakiś fikcyjny adres!...
— Daj mu spokój Rena!... — wołał amant komiczny — pohamuj zazdrość!... Widocznie bardzo mu było potrzeba samotności...
— Samotności... we dwoje!... — dodał inny aktor — i dlatego wykombinował sobie tę Dolinę Krokusów z willą „Uroczysko"... To nieźle brzmi...
— Podły!... niewdzięczny!... szalała Rena — nie napisać do mnie ani słowa!...
— Ależ pisałem do ciebie nawet kilkakrotnie...
— Kłamiesz!... nie otrzymałam nic!... Powiedz gdzie byłeś?..
— W Dolinie Krokusów.
— Takiej miejscowości niema wogóle!...
Korabiec zaczynał się irytować.
— Czyście wszyscy powaryowali? Dolina Krokusów w Tatrach nie daleko Nowego Targu...
— Wolne żarty! — zaśmiał się młody adept sztuki dramatycznej, który pochodził z Podhala — to przecież moje rodzinne strony,.. znam na Podhalu każdą wioskę... każdy kamień niemal... żadnej Doliny Krokusów tam niema!...
— Jakto niema? kiedy ja spędziłem tam dwa tygodnie w willi „Uroczysko", urządzonej z najwybredniejszem komfortem... I żebyście wiedzieli jakie tam poznałem towarzystwo... samą arystokracyę o historycznych nazwiskach... Pan Zborowski, hrabia Stadnicki Stanisław, księżna Beata Ostrogska, pan Piotr Kmita... pan Mikołaj Zebrzydowski...
Wybuch chóralnego śmiechu.
— A to doskonale!... a nie było tam przypadkiem króla Leara?
— Albo lady Macbeth?
— A może był Faust?
— Owszem był dr. Henryk Faust — przyjaciel profesora Twardowskiego...
— No to brakuje jeszcze Mefista i Boruty a będzie komplet!...
— Przyznaj no się, Zygmusiu — poklepał Korabca po ramieniu dobroduszny, poczciwy kolega, grywający zwykle „czarne charaktery" — żeś te dwa tygodnie spędził nie wśród postaci z dramatów, ale w towarzystwie jakiejś żywej ładniutkiej kobietki...
— Skąd wam przyszły na myśli postacie z dramatów?
— No, bo wymieniałeś same postacie z dramatów.
— Przecież już mówiłem, że to wszystko ludzie o historycznych nazwiskach.. A Dolina Krokusów istnieje!... Zaraz wam na mapie pokażę!...
— Nie pokaże kolega, chyba na mapie księżyca albo Marsa!...
— Na mapie Podhala!... Założę się o co chcecie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

A. CONAN DOYLE.

CZERWONA GWIAZDA

Tłómaczył Zbigniew Bodeński.

(Dokończenie).

Wówczas miecz Allaha zostanie wydobyty i nie zostanie wsadzony do pochwy, póki żniwo nie będzie zebrane. Naprzód uderzę na bałwochwalców w dniu, gdy mój własny lud i krewni Koraiszowie zostaną rozgromieni a trzysta sześćdziesiąt bożyszcz Kaaby wyrzuconych na śmietniki miasta. Potem Kaaba będzie przybytkiem i świątynią Boga jedynego, który nie znosi współzawodnika na ziemi ni w niebie.

Jego zwolennicy skupili się wokoło niego z dzidami w ręku i utkwili w jego twarzy swe płonące oczy, a ich czarne rysy pełne były fanatycznego zapału, który wskazywał jak wielką miał u nich miłość i poszanowanie.

— Będziemy cierpliwi — rzekł; — lecz kiedyś za rok, za dwa, nadejdzie dzień, gdy anioł Gabryel zwiastuje mi, że minął czas słów, a nadeszła godzina miecza. Jest nas niewielu i jesteśmy słabi, lecz jeśli taka jest Jego wola, któż się nam oprzeć zdoła? Czy jesteś żydowskiej wiary cudzoziemcze? — zapytał.

Odrzekłem, że nie.

— Tem lepiej dla ciebie — odparł, z tym samym wściekłym gniewem na śniadej twarzy. Najprzód padną bałwochwalcy, a potem żydzi, za to, że nie uznali proroków, których przepowiadali. Na ostatku przyjdzie kolej na chrześcijan, którzy zaprawdę idą za prawdziwym prorokiem, większym niż Mojżesz lub Abraham, lecz, którzy zgrzeszyli przez to, iż wzięli stworzenie za Stwórcę. Dla każdego po kolei bałwochwalcy, żyda i chrześcijanina nadejdzie dzień obrachunku.

Oberwańcy za nim wszyscy potrząsali włóczniami przy jego słowach. Nie było wątpliwości, że biorą to na seryo, ale gdy spojrzałem na ich obszarpany ubiór i prostą broń, nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu na myśl o ich ambitnych groźbach i wyobrażałem sobie, jaki będzie ich los w dzień bitwy wobec berdyszów naszej gwardyi cesarskiej i lanc ciężkiej kawaleryi armeńskiej. Jednak nie potrzebuję wam mówić, że byłem na tyle dyskretny, by swych myśli nikomu nie wyjawić, gdyż nie pragnąłem bynajmniej być pierwszym męczennikiem przy tym nowym ataku na naszą świętą wiarę.

Zapadał już wieczór i postanowiono, że obie karawany będą obozować razem, a to zarządzenie było tem pożądańsze, że nie byliśmy bynajmniej pewni, czy znów nie ujrzymy rabusiów. Zaprosiłem przewódcę Arabów do siebie na kolacyę i przyszedł też do mnie po długich modłach ze swymi towarzyszami, lecz moje próby gościnności były wyrzucone na darmo, gdyż nie chciał ani tknąć wybornego wina, które dla niego rozpakowałem, ani żadnych z moich przysmaków, zadowalniając się czerstwym chlebem, suszonemi daktylami i wodą. Po tym posiłku siedzieliśmy sami przy dymiącem ognisku. Nad nami rozciągało się wspaniałe sklepienie niebios, ukazujące ten ciemny, pyszny błękit i te jasno błyszczące wyraziste gwiazdy, jakie można oglądać tylko w suchem powietrzu pustynnem. Obóz nasz leżał przed nami i żaden odgłos nie dobiegał do naszych uszu, prócz głuchego szmeru głosów naszych towarzyszy, a od czasu do czasu przeraźliwego krzyku szakala, wśród otaczających wydm piaszczystych. Siedziałem twarzą w twarz z tym dziwnym człowiekiem, a blask ognia padał na jego bystre i rozkazujące rysy, oraz odbijał się w jego namiętnych oczach. Było to najdziwniejsze czuwanie i nigdy mi nie wyjdzie z pamięci. Rozmawiałem o mych podróżach z wielu mądrymi i sławnymi mężami, lecz żaden takiego nie wywarł na mnie wrażenia, jak ten.

A przecież dużo w jego rozmowie było mi niezrozumiałe, choć, jak wam wiadomo, mówię po arabsku niby Arab. Mowa jego była czasami niby paplanie dziecka, niekiedy bezładna, jak bredzenie fanatyka, to znowu wzniosła, jak marzenia proroka i filozofa. Były chwile; gdy opowiadania jego o demonach, cudach i snach były podobne do baśni, opowiadanych dzieciom wieczorami przez stare kobiety. Kiedyindziej, gdy mówił z jaśniejącą twarzą o swem obcowaniu z aniołami, o zamiarach Stwórcy i o końcu wszechświata, miałem uczucie, że siedziałem obok kogoś więcej niż śmiertelnego, kogoś, kto zaiste był bezpośrednim wysłannikiem Najwyższego.

Miał on słuszne powody do traktowania mnie z taką poufałością. Widział we mnie wysłannika do Konstantynopola i do cesarstwa rzymskiego. Miał nadzieję, że tak, jak święty Paweł sprowadził chrześcijaństwo do Europy, podobnie i ja zaniosę jego naukę do mego ojczystego miasta. Niestety, czemkolwiekby była ta jego nauka, obawiam się, że nie jestem stworzony na świętego Pawła. Jednak przez tę całą długą noc arabską usiłował ze wszystkich sił nawrócić mnie na swoją wiarę. Miał ze sobą świętą księgę, napisaną, jak mówił pod dyktatem anioła, którą woził na tabliczkach kościanych w worku na obrok wielbłądów. Przeczytał mi z niej kilka rozdziałów, ale choć przepisy były zwyczajnie dobre, język wydawał mi się dziki i fantastyczny. Były chwile. w których ledwie zdołałem zachować spokój, słuchając go. Planował swe przyszłe ruchy i rzeczywiście, gdy mówił, trudno było pamiętać, że był tylko wędrownym przewódcą karawany arabskiej, a nie jednym z wielkich tego świata.

— Gdy Bóg mi użyczy dostatecznej mocy, co stanie się za kilka lat, — mówił — zjednoczę całą Arabię pod mym sztandarem. Potem rozpowszechnię swą naukę po Syryi i Egipcie. Gdy się to stanie, zwrócę się do Paryża i dam im wybór między prawdziwą wiarą, a mieczem. Po zdobyciu Persyi, łatwo mi będzie podbić Azyę Mniejszą i w ten sposób dotrzeć do Konstantynopola.

Ugryzłem się w wargi, by się powstrzymać od śmiechu.

— I jak długo to potrwa, nim twe zwycięskie wojska dojdą do Konstantynopola? — zapytałem.

— Te rzeczy są w ręku Boga, którego sługami jesteśmy — odrzekł. Może ja sam umrę, nim się to spełni, lecz nim dni dzieci naszych się skończą, to co ci powiedziałem się stanie. Spójrz na tę gwiazdę — dodał — wskazując na przepiękną jasną planetę nad naszemi głowami — Oto symbol Chrystusa. Patrz jak pogodnie i spokojnie świeci, jak jego własna nauka i pamięć jego życia. A teraz — dodał, zwracając wyciągniętą rękę ku ciemnej, czerwonej gwieździe na horyzoncie — tej samej, na którą teraz spoglądamy — oto moja gwiazda, głosząca gniew, wojnę i bicz na grzeszników. A jednak obie zaprawdę są gwiazdami i każda czyni, co jej Allah przykaże.

Otóż to przeżycie widok tej gwiazdy przywołał mi dziś na myśl. Czerwona i gniewna wisi jeszcze nad południem, tak samo, jak widziałem ją owej nocy w pustyni. Gdzieś, hen, daleko ów człowiek pracuje i walczy. Może został zabity przez jakiegoś współfanatyka, lub w utarczce plemiennej. W takim razie skończyło się. — Lecz jeśli żyje, było coś w jego oczach i powierzchowności, co mi mówi, że Mahomet syn Abdallaha — bo tak się nazywa — da w ja kiś niezwykły sposób świadectwo wierze, którą wyznaje.

Wina i pokuta

(Z angielskiego).

1) ROZDZIAŁ I.

Kleopatra i jej wielbiciele.

— Ach! Boże — jakież to było piękne!... — zawołała Katty, podnosząc błękitne oczęta ku skrzącemu miliardami gwiazd niebu. — A ten rycerz rzymski czy król — strasznie mi się podobał!

— No, wiesz, mnie się twoja pani jeszcze więcej podobała niż on.

Niebieskie oczy jasnowłosej pokojówki błysnęły gniewnie.

— Słuchajno, ja to sobie wypraszam, żeby się tobie kobiety podobały...

Młody chłopak, którego barczysta, krępa postać — przyodziana była w elegancką liberyę, uśmiechnął się chytrze.

— Ale przecież ty mi się także podobasz...

— To zupełnie co innego!... Ja jestem twoją narzeczoną!... I właściwie nie powinnam na to pozwalać, żebyś takie cudne kwiaty rzucał pannie Alicyi na scenę!... Nie powinnam pozwalać!...

— Cóż ja mogę na to poradzić? — tłómaczył się John Kidds — skoro mój pan mi każe...

— Ach! ten waryat!... — wzruszyła ramionami dziewczyna. — Szkoda jego pieniędzy i tak się to na nic nie zda!...

— Tak myślisz? O! to, to byłoby niedobrze. Mój pan chyba naprawdę zwaryowałby!... Jest tak zakochany!...

Pokojówka złagodniała trochę:

— Biedny pan Morton! Żal mi go. Ale moja pani to nie taka, jak inne aktorki, żeby się i z tym i z tamtym zadawała!... A powiadam ci, że ona zajęła się tym panem Robertem... tym z Indyi... Należy oczekiwać zaręczyn w najbliższym czasie.

Musieli się usunąć na bok, aby nie tamować przejścia, bo tłum płynął już z teatru szeroko rozlewającą się falą. Migotały różnobarwne narzutki teatralne dam, obszyte futrem lub puchem łabędzim, z osłon koronkowych i gazowych szalów wychylały się zarumienione twarze. Dorożki i automobile zajeżdżały przed teatr, panowie pomagali wsiadać swoim towarzyszkom.

Rozmawiano oczywiście o premierze dzisiejszej. Mało wszakże poświęcano uwagi samej sztuce, a daleko więcej znakomitej odtwórczyni głównej roli kobiecej.

— Ach! ta Belmore!... ta zachwycająca Alicya Belmore!...

— Co za artystka!...

— Jaka ekspresya!... ile uczucia, ile prawdy w grze!...

— I jaka piękna!...

Oczy mężczyzn błyszczały, niejedna z pań ocierała sobie batystową chusteczką łzę, wyciśniętą przez wzruszającą grę artystki.

Katty słyszała te słowa zachwytu i czuła się także dumną ze sukcesu swej pani.

— Ach! to było takie piękne! — rzekła. — Szkoda, że się tak smutno kończy!...

— Bo ci głupi autorowie, to najchętniej pokazują takie smutne miłosne historye, a tymczasem najlepiej jest kochać się na wesoło... Nieprawdaż, Katty... Wiesz, jak się już pobierzemy...

Uścisnął mocno rękę dziewczyny.

— No, na to przyjdzie jeszcze poczekać... Pobierać się bez pieniędzy — to niema sensu...

Chłopak poskrobał się frasobliwie w głowę.

— Masz racyę, ale cóż robić?

— Trzeba liczyć na szczęście. Żeby się to trafiło codziennie coś takiego jak dzisiaj?...

— No?...

— Zarobiłam sto funtów!...

John zrobił wielkie oczy:

— Co ty powiadasz!... Zarobiłaś?!

— A tak!...

— W jaki sposób?

— Dostałam od Pana Roberta, kiedy był dzisiaj u nas...

— No ten — musi mieć ciężkie pieniądze!...

— I za miliony go nie kupisz!... Dzisiaj przed południem pan Macmorris chciał widzieć się z moją panią... Ale miss Alicya nie mogła go przyjąć ponieważ, ponieważ właśnie wtedy przymierzała kostyum... Odszedł taki smutny, a ja patrzyłam za nim przez okno w kuchni... I nagle widzę, że z kieszeni wypada mu portfel... Naturalnie biegnę natychmiast, portfel podnoszę... Na rogu ulicy dopędziłam go... i oddałam portfel... Był bardzo ucieszony i dał mi sto funtów!... „Ależ proszę wielmożnego pana — mówię — to za dużo!..."

— No wiesz, że to było głupio powiedziane!... — oświadczył John.

— Ja to powiedziałam tylko tak sobie — dla ambicyi... Wiedziałam przecież, że mi nie odbierze tego co raz dał... A on jeszcze powiedział: „To znaleźne należy ci się Katty, zarobiłaś te pieniądze uczciwie, bo właśnie podjąłem w banku milion...

— Milion funtów? I on tyle pieniędzy nosi przy sobie!... O! Katty, gdybyśmy te pieniądze mieli -- wystarczyłyby nam na całe życie!... To doprawdy grzech i wstyd, żeby jeden miał tak dużo, a drugi nic!... Kiedy o tem myślę, to zdaje się, że mógłbym...

Dziewczyna trąciła go.

— Ciszej, nie mów tak głośno...

— Albo co?

— Zdaje mi się, że ktoś przysłuchuje się. Stoi tam za filarem.

John obejrzał się.

— No to i cóż? Nie powiedziałem przecież nic złego.

— Ale mnie się zdawało, że to pan Morton. Zupełnie jego wzrost i taki sam czarny, miękki kapelusz.

— To ci się zdawało... Mój pan jest na zgromadzeniu wyborców, którzy go chcą postawić jako kandydata na swej liście. Gdyby nie to byłby sam w teatrze i nie posyłałby mnie z kwiatami dla panny Alicyi.. I..

Urwał. Katty skierowała spojrzenie śladem jego wzroku.

— Otóż i moja pani idzie i naturalnie z panem Macmorris... A teraz uciekaj, John, nie chcę, żeby miss Alicya widziała nas tutaj razem...

Lokaj zniknął za filarami portalu, a Katty poszła naprzeciw swej pani, zajętej żywą rozmową.

— Doprawdy, że to nie pochlebstwo, nie komplementa — mówił Robert Macmorris, dobrze zbudowany, elegancki mężczyzna, z twarzą spaloną od słońca i nacechowaną wyrazem energii i silnej woli — przeszła pani moje oczekiwania... Była pani wprost przewspaniałą jako Kleopatra!...

— A mówił pan, że pan nie lubi tej sztuki!...

— Nie miałem pojęcia, co pani ze swej roli zrobić potrafi!... Zaiste, że duch autora musiał się cieszyć na tamtym świecie i dziękować pani!...

Wzrokiem zachwytu i upojenia ogarniał jej królewsko wyniosłą postać, którą okrywał jasny sukienny płaszcz.

— Istotnie, rola ta bardzo mi odpowiada — odrzekła tonem, w którym pomimo pozornej skromności czuć było samopoznanie.

— Czyżby i w życiu? — zapytał Macmorris, spoglądając badawczo w jej piękne oczy.

— Co pan przez to rozumie?

— Czy i w życiu chce pani panować nad mężczyzną? tyranizować go? gnębić?

Zawahała się przez chwilę.

— To może nie... — rzekła wreszcie. — W każdym razie jednak nie chciałabym zostać zabawką w ręku kochanego przeze mnie mężczyzny...

— Czyż podobna, aby ktoś, kogoby pani kochać zechciała — zamierzał się panią bawić?!...

Palił ją ognistem spojrzeniem czarnych oczu. Zaśmiała się.

— Któż może ręczyć za miłość mężczyzny!...

— A miłość kobiety?...

— To... no dajmy temu na razie spokój... Otóż i moja służąca...

— Widzę ją, stoi tam pod filarem...

— Jeszcze nas nie zauważyła, tak ją pochłania rozmowa z tym chłopakiem, z lokajem pańskiego przyjaciela...

— Mortona? — twarz Roberta spospępniała. — Morton nie jest już moim przyjacielem... Obawiam się nawet, że mnie nienawidzi. Pani wie dlaczego.

— Niech mu pan tego za złe nie bierze. To przejdzie. Ale — zmieniła kierunek rozmowy, wkraczającej na drażliwe tory — to doprawdy nieładnie z pańskiej strony, że nie chce mi pan towarzyszyć do sali hotelu „Splendid"... Obiecałam, że tam dzisiaj coś zadeklamuję...

Macmorris skłonił głowę w pełnym galanteryi ukłonie:

— To też z przykrością przychodzi mi wyrzec się...

— Ale dlaczego właściwie? Nie jest pan przecież zwykle odludkiem...

— Mam powód...

— Czy mogę wiedzieć jaki?

Macmorris milczał chwilę.

— Będzie tam produkował się dzisiaj niejaki Haired-din-bey...

— Znany spirytysta i hypnotyzer... Budzi ogromne zainteresowanie... Na produkcye jego bilety są zawsze rozchwytane..

— Ja uważam te produkcye za humbug, obliczony na łatwowierność bezkrytycznych tłumów...

— Ale to jeszcze nie powód, aby pan nie mógł mi towarzyszyć... To musi być coś innego...

— Ma pani racyę... — zdecydował się na otwartość Macmorris — będę z panią zupełnie szczerym... Ten Haired-din-bey — to kuzyn mojej matki...

Aktorka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Jakto, ten Arab jest pańskim krewnym?!

— Taki z niego Arab, jak ze mnie Hindus. Człowiek awanturniczego usposobienia, od najwcześniejszej młodości włóczył się po świecie... Był dłuższy czas na Wschodzie; podobno przyjął nawet mahometanizm — przypuszczam, że dla celów reklamowych... Turban i z arabska czy z turecka brzmiące imię — to działa na publiczność...

— Ach! tak... teraz rozumiem...

— Że nie chciałbym go spotkać w towarzystwie, zwłaszcza, że gotów przypomnieć mnie sobie i zaczepić...

— Jeśli tak... Ale otóż i Katty... do widzenia... więc pan...

Przycisnął usta do jej ręki.

— Dziękuję pani.

— Ach! jesteś Katty!... — rzekła Alicya Belmore — czy długo czekałaś?

— Z jakie pół godziny...

— Niepotrzebnie zresztą. Możesz zaraz wracać do domu.

— A pani, miss Alicyo, czy pani się nie przebierze?

— Nie, to zbyteczne. Idę tak jak jestem do hotelu „Splendid".

— Mam sprowadzić dorożkę?

— Nie trzeba. To niedaleko, a pogoda tak piękna. Spacer dobrze mi nawet zrobi... Ale...— sięgnęła nagle ręką do kapelusza — zapomniałam mojej szpilki!...

— Tej z rubinem?

— Tak. Zostawiłam ją widać w garderobie.

— Czy poszukać?

— Nie znalazłabyś. Ja sama poszukam.

Katty nie odchodziła jeszcze.

— A kiedy mam przyjść po panią do hotelu „Splendid".

— Nie przychodź wcale. Połóż się spać. Ja tam zabawię dłużej, może do rana, bo po koncercie mają być tańce.

— Dobranoc pani, przyjemnej zabawy życzę.

— Dziękuję Katty, dobranoc.

Katty ucieszyła się ogromnie swoją swobodą. Sądziła, że odnajdzie teraz Johna i pospaceruje jeszcze. Ale nadzieje zawiodły ją. Johna już nie było... Natomiast w przecznicy koło teatru dojrzała postać mężczyzny, chodzącego tam i z powrotem, jakby oczekiwał na kogoś. Wydało się jej, że poznaje Roberta Macmorrisa.

ROZDZIAŁ II.

W mrokach nocy letniej.

— No, no kogóż widzę!...

Adwokat Thompson obrócił się zdziwiony, gdy poczuł rękę na swym ramieniu.

— Ach! to ty doktorze!

Doktór roześmiał się jowialnie:

— Coś mi się zdaje, mecenasie, że i ty za nią w trop...

— Za kim? — na sympatycznej, szczerej twarzy młodego adwokata malowało się zdziwienie.

— Oczywiście za piękną Alicyą Belmore...

Thompson wzruszył ramionami.

— Cóż za przypuszczenie!... więsz przecie, że dla mnie...

— ...istnieją tylko fiołkowe oczęta uroczej Molly Morton...

— To też przez nią jestem tutaj.

— Chyba nie jako swat jej brata do miss Belmore?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Zaczynamy powoli przychodzić do równowagi duchowej i cielesnej, którą utraciliśmy w następstwie wybuchu trzech bomb, choć nerwowe podrażnienie wywołane strachem, jeszcze w zupełności nie ustąpiło. Krakowianie mają widocznie nieczyste sumienia i, jak wykazały statystyczne obliczenia, na dziesięciu mieszkańców ośmiu uważa się za zasługujących na bombę, nic też dziwnego, że zwykłe pudełko ze sardynek, porzucone gdzieś w kącie podwórza, nabawia wszystkich lokatorów kamienicy panicznego przestrachu, bo każdemu się zdaje, że to bomba dla niego przeznaczona, a niema bynajmniej zamiaru dzięki jej działaniu powiększać grona aniołków, tembardziej zaś, jeśli ona była przeznaczoną dla sąsiada.

Śledztwo w sprawie wybuchu trzeciej bomby w budynku *Nowego Dziennika*, chociaż prowadzone przez władze tutejsze i warszawskie, nie dało dotąd żadnego pozytywnego rezultatu i, o ile można było dotąd skonstatować, nie jest pewnem, czy wszystkie trzy zamachy bombowe pozostają ze sobą w jakimkolwiek związku. To jedno jest pewne i tego nikt nie zaprzeczy, że bomby wybuchły, narobiły wiele hałasu, a za tem i strachu, szkody materyalnej stosunkowo niewiele.

Nasz specyalny sprawozdawca, zajmujący się tą sprawą, wpadł na domysł, który w rezultacie, o ile okazałby się trafny, mógłby naprowadzić na wykrycie sprawców. Otóż, jego zdaniem, zamachów tych sprawcami są jednostki, mające w najbliższym czasie zamiar założenia w Krakowie wielkiej pralni, jako towarzystwa akcyjnego, opartego na odpowiednim kapitale zakładowym. Narazie mają dopiero gotowe projekty i kandydatów na kierownicze stanowiska poza tem wodę z Wisły, o resztę zaś zaczynają się właśnie starać. Przedewszystkiem chcą więc przekonać najszersze sfery naszego miasta, że tego rodzaju zakład przemysłowy jest koniecznie potrzebny i w tym celu podkładają bomby w taki sposób, aby jak najmniej szkody wyrządziły, a przecież osiągnęły pożądany rezultat. Równocześnie zabiegają także członkowie przyszłej spółki o zdobycie kapitału zakładowego, którego dostarczyć miała im kasa Miejskiej Elektrowni przy Placu Szczepańskim, gdzie dokonano włamania równocześnie z wybuchem trzeciej bomby na Kazimierzu. Zdobyto zaledwie milion w gotówce, wobec czego założenie pralni będzie musiało być odłożone *ad feliciora tempora*, gdy konjunktury finansowe się poprawią. Ten i ów dziwił się może, że Kraków miał równocześnie dwie takie senzacye, tymczasem nie było powodu dziwienia się, skoro miała to być planowa robota. Jedno nas tylko martwi, mianowicie orzeczenie rzeczoznawców, że włamania przy Placu Szczepańskim dokonali specyaliści obcy, najprawdopodobniej warszawscy, a nie swoi. Współzawodnictwo między obu stolicami Polski. Warszawą i Krakowem, znów daje się odczuwać ze szkodą dla Krakowian, którzy nie zdołali jeszcze osiągnąć tego szczebla postępu, który zapewniałby im zwycięstwo w walce ciężkiej o kawałek chleba.

Czy domysły naszego sprawozdawcy okażą się trafne, o tem będziemy mogli się przekonać się w dalszym ciągu, o ile śledztwo postąpi naprzód, w każdym razie stwierdzić trzeba, że obawy przed bombami spokojnych obywateli Krakowa są zupełnie usasadnione i należałoby się postarać, aby nie mąciły snu sprawiedliwym. Z notatek policyjnych z ostatniego tygodnia dowiedzieliśmy się, że na dworcu krakowskim przytrzymano niejakiego Kotarbę, który w plecaku miał dwa naboje, wypełnione materyałem wybuchowym, każdy rzekomo o wadze dwudziesto pięciu kilogramów doszło także do naszej wiadomości, że gdzieś tam na Kaźmierzu znaleziono na wozie dwie bomby. Świadczyłoby to, że Kraków jest odpowiednio zaopatrzony w materyały wybuchowe, ale stara się ich pozbyć, widząc, że się dzięki im nie osiąga pożądanych skutków. Dużo jeszcze wody upłynie we Wiśle i Rudawie, nim osiągniemy zupełną równowagę i widok pudełka sardynek przestanie budzić obawy, że mamy przed sobą bombę, która, w myśl dawnych naszych zwyczajów, powinna być szklana i wypełniona wewnątrz płynem wyrobionym w Okocimiu, Żywcu lub Pilźnie, a wybuchająca dopiero po powrocie do domu, gdy małżonka ujrzy przed sobą swego dozgonnego towarzysza „wytrąconego zupełnie z równowagi". Dopóki mieliśmy do czynienia z tego rodzaju bombami i wybuchami, będącymi ich następstwem, mogliśmy być uważani wprawdzie za zacofanych, ale w każdym razie byliśmy daleko swobodniejsi, niż jesteśmy dziś, gdy się możemy poszczycić coraz większym postępem. Sprawdza się na nas przysłowie, że, „czem kto wojuje, od tego ginie". Dawniej na widok bombki śmiały się Krakowianinowi oczy i radowała się jego dusza, dziś nie potrzebuje jej widzieć, niech słyszy tylko słowo „bomba", a zimny dresz przebiega po jego ciele, stracił też dawne swe pragnienie i nie gasi go tak często i tak skutecznie, jak to bywało przed wojną. Przyczyniło się do tego także i to, że na „bombkę" poprostu go nie stać, poza tem to, co się dostaje za drogie pieniądze, nie jest piwem w przedwojennem tego słowa znaczeniu, ale jakąś obrzydliwą lurą, której przedtem nie chwyciłby się nawet karakon.

Obawy przed bombami i będąca z niemi w związku lichota piwa nie wpłynęły bynajmniej na zmniejszenie frekwencyi pobożnych pątników na Bielany, choć pogoda niezupełnie była pewną, deszcz, jak to mówią, wisiał w powietrzu, a ziemia po kilkudniowej niepogodzie była dość wilgotna. Ale szanujący tradycyę Krakowianin rozchorowałby się ze zmartwienia, gdyby w Zielone Święta nie znalazł się na Srebrnej Górze, choć by go to miało kosztować grube tysiące lub spowodować podarcie zelówek, obliczonych również dzisiaj na wagę złota. Już w sobotę popołudniu wyrukowały z Krakowa na Bielany całe gromady wszelkiego rodzaju dziadów obojga płci, aby sobie zdobyć jak najdogodniejsze i najrentowniejsze miejsca pod murem klasztornym, nocą pociągnęli kramarze, od rana w niedzielę rozpoczęła się lądem i wodą wędrówka pątników, przeważnie parami, co chlubnie świadczy o towarzyskiem usposobieniu Krakowian, a ma także i tę dobrą stronę, że wpływa dodatnio na wzmożenie liczby ludności. Zauważył to nawet marszałek Foch w czasie swej wizyty u nas, chwaląc Polaków, że widocznie dokładają wszelkich starań, aby wypełnić luki, jakie w zaludnieniu poczyniła wielka wojna światowa.

Zrozumieli teraz dopiero Francuzi, jakie znaczenie dla kraju ma normalny przyrost ludności. Francuzki, dbające o swe zdrowie i ponętny wygląd nawet już po przekroczeniu rubikonu życiowego, dały posłuch teoryom, szerzonym przez nieprzyjaciół ich ojczyzny i osławiony niemiecki „Zweikindersystem" znalazł we Francyi prawo obywatelstwa, w rezultacie czego liczba ludności francuskiej zmniejszała się coraz bardziej. Miorodajnym czynnikom otwarły się nareszcie oczy, poznały, jakie krajowi grozi stąd niebezpieczeństwo i chwycono się rozpaczliwych środków ratunku, aby, póki czas, przeszkodzić wyludnieniu Francyi. Wyznaczono cały szereg nagród dla małżeństw o licznem potomstwie, nie można się zatem dziwić, że marszałek Foch wyraził swoje zadowolenie, skonstatowawszy na miejscu, że na naszym gruncie nie dały się zaszczepić pruskie teorye, obliczone na obałamucenie łatwowiernych, ale u siebie w domu nie stosowane.

W chwili, gdy jesteśmy tak pokojowo, a nawet sielankowo usposobieni, dochodzi nas z Warszawy odgłos wybuchu bomby, podłożonej przez nieznanego sprawcę w budynku redakcyi *Rzeczypospolitej*. Równocześnie przeszkodzono wybuchowi drugiej bomby w lokalu *Gazety Warszawskiej*, urywając jej dość wcześnie ogon, t. j. tlejący lont. Pierwszy wybuch nie pociągnął za sobą ofiar w ludziach, powodując jednak dość znaczne szkody materyalne, w drugim wypadku skończyło się tylko na strachu. A działo się to właśnie w chwili, gdy w Sejmie warszawskim zgłosił dr Thon wniosek nagły w sprawie krakowskich wybuchów, wskazując, że były one skierowane przeciw Bogu ducha winnej, a tak lojalnej mniejszości narodowej żydowskiej, śpieszącej ku większości z otwartem sercem i kieszenią, a spotykającej się w zamian za to z tak niekulturalnem traktowaniem.

Pozazdrościła zatem i w tym wypadku Warszawa Krakowowi, bo dwie bomby w jednym dniu to przecież więcej, niż na krakowski sposób „co godzina po łyżce", twierdzenie dr Thona, jakoby bomby w Polsce były przeznaczone wyłącznie dla żydów, okazuje się jako oparte na mylnych przesłankach. O bombie w Łodzi, podrzuconej w lokalu rzeźników, nie wspominamy, choć stało się to prawie równocześnie, jak bowiem wynika z doniesień pism codziennych zamach ten niema charakteru politycznego, bo przypisywany jest strajkującej czeladzi rzeźnickiej, która w ten sposób chciała zamanifestować głośno swe sympatye dla chlebodawców.

Ile jeszcze bomb pęknie, gdzie, kiedy i pod czyim adresem, tego dotąd nie wiemy, powoli zaczynamy jednak przecież oswajać się z tym rodzajem walki społecznej i każda następna bomba, choćby pękła z większym hukiem niż poprzednia, robi coraz mniejsze wrażenie, jeszcze dalej w ten deseń, a oswoimy się z niemi zupełnie.

A tymczasem większości sejmowej jak nie było, tak dotąd jeszcze niema, ale cieszymy się nadzieją, że będzie, choć nie wiemy, kiedy i kto ją właściwie utworzy, głównie zaś, jaką będzie rozporządzała liczbą głosów. Stronnictwa, które mogłyby wziąść w niej udział, a nie mogą się na to zdecydować, nie widząc w tem dla siebie większych korzyści, powinny sobie przeczytać ostatnią papieską encyklikę, a może Duch Święty zstąpiłby na nie i oświecił ciemności ich mózgownic. Wielkie rzeczy tworzą się zazwyczaj pomału, nie dziwi też nikogo, że i nasza większość, choć wcale niezbyt wielka, lepi się dość powolnie, radzi jednak bylibyśmy zaglądnąć jej raz w oczy aby się przekonać, jak też wygląda.

Na szerokim świecie narazie dość cicho, niepewne pomruki dochodzą nas jedynie z pogranicza grecko-tureckiego, bo w Niemczech zaczynają się już powoli oswajać z myślą, że skoro się przyjęło traktat wersalski, trzeba zgodzić się na jego konsekwencye i nie mydlić ludziom oczu. Francya upomina się tylko o to, co się jej słusznie należy i ma do tego prawo, a nawet zmuszona jest swem obecnem położeniem ekonomicznem. Ciekawe także, jak się skończy zatarg między Anglią a Rosyą. Ta ostatnia, odkąd dostała się pod rządy Bornsteinów, Nachamkesów, Silberzweigów, Finkelsteinów i im podobnych „istinno-russkich", ma naprawdę żydowskie szczęście Nibyto nikt jej nie chce uznać, a każdy stara się o jej względy, nawet Anglia, gotowa do demonstracyi flotowej na wodach tureckich, wobec Sowietów na energię zdobyć się nie potrafi.

Niezwykle dziwnie wyglądała także i obudziła ogólnie przykre wrażenie kondolencya, złożona przez Kuryę Watykańską Rosyi z powodu zamordowania Worowskiego bezpośrednio po zbrodni dokonanej na osobie prałata Budkiewicza i publicznem ogłoszeniu rządu Komisarzy Ludowych, że papieża powinno się pociągnąć do odpowiedzialności przed sądem sowieckim. Mordu pochwalić nie można, jakiekolwiek miałby on motywy, ale od składania kondolencyi w takim wypadku należało się powstrzymać, bo szkodzi ona stronie, która ją składa, a nie jest zrozumianą przez odbierających.

Ale trzeba mieć takie żydowskie szczęście, jakiem stale cieszą się Sowiety, których nikt rzekomo znać nie chce, ale każdy chciałby żyć z nimi na przyjaznej stopie, oczywiście dlatego, aby na tem zrobić dobry interes.



Zgon znanego parlamentarzysty.

W ubiegłym miesiącu zmarł w Krośnie naczelnik tamtejszego sądu i były poseł do austryackiego parlamentu i sejmu, ś. p. Wincenty Jabłoński.

Była to osobistość w życiu politycznem byłej Galicyi powszechnie znana i ceniona, jako sekretarz Koła Polskiego we Wiedniu potrafił sobie ś. p. Jabłoński zyskać mir swoich i obcych, na terenie wiedeńskim odgrywał też wybitną rolę, zwłaszcza, że reprezentacya nasza nad Dunajem była wówczas jednym z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych klubów politycznych. Jego okręg wyborczy ma mu wiele do zawdzięczenia, nie mniejszą troskliwością otaczał także sprawy, dotyczące całego naszego kraju. Ś. p. Jabłoński brał również żywy udział w życiu ekonomicznem, był prezesem koncernu naftowego „Dąbrowa", ponadto był członkiem licznych instytucyi społecznych.



Z życia naszych Strzelców: Uroczystość wręczenia nagród w Związku Strzeleckim w Nowym Sączu za najcelniejsze strzały. Fot. Fr. Pach, Nowy Sącz.

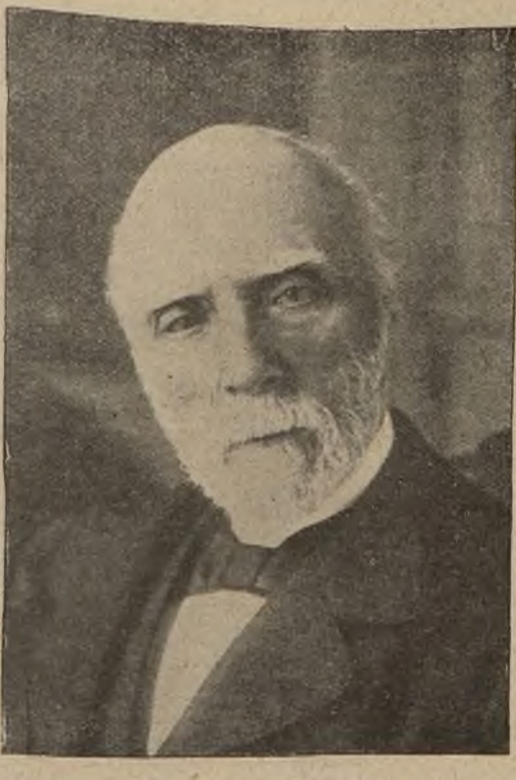
Z życia naszych „Strzelców".

Dnia 6 maja odbyło się strzelanie konkursowe Związku Strzeleckiego w Nowym Sączu. Było ono dowodem, że praca strzelecka w Nowym Sączu postępuje raźno naprzód i przetrwała już trudny okres organizacyjny. Od samego rana w dniu 6 maja cały Nowy Sącz był pod znakiem „Strzelca". Przez miasto maszerowali licznie umundurowani strzelcy. Przechodnie gromadzili się pod oknem wystawy cukierni Pilińskiego, gdzie były wystawione liczne nagrody dla najlepszych strzelców, ufundowane przez Korpus Oficerski 1 p. s. p., Korpus Podoficerski 1 p. s. p., Okręg Krakowski Zw. Strz., Polski Związek Kupców w Nowym Sączu, Zarząd Obwodu Nowosądeckiego Zw. Strzel., p. Franciszka Celewicza, Stow. Młodzieży Rękodzielniczej, Związek Bankowców w N. Sączu, adwokata dra Flisa, Radę Powiatową w N. Sączu, Magistrat m. Nowego Sącza i szereg innych.

O godz. 2-giej po południu — oddział Związku Strzeleckiego pomaszerował przy dźwiękach orkiestry na strzelnicę w Chełmcu Polskim. Dla publiczności i gości uruchomione było połączenie omnibusowe, to też zebrały się na strzelnicy tłumy ludzi. Oprócz członków Związku Strzeleckiego wzięli udział w strzelaniu zaproszeni przez Zw. Strzel. reprezentanci klubów sportowych, jak W. K. S. 1 p. s. p., K. S. Czarni, Tow. Wiośl. N. S., Koło Myśl. N. S., K. S. 1. pag., Kl. Myśl. Krościenko, Tow. Strzel. N. Sącz, Klub Wiośl., Zw. Myśl. i szereg innych. Po strzelaniu, którego wyniki naogół były bardzo dobre, odbyło się wręczenie nagród zwycięzcom i przemówienia: dcy 1 p. s. p. płk. Dobrodzickiego, prezesa Zarz. Obw. N. Sącz. Zw. Strzel. Michalika i komendanta Okręgu Krak. Zw. Strzel. Załuskiego. Nagrody wręczone zostały zwycięscom przez miejscowe panie. Podczas całego konkursu przygrywała orkiestra wojskowa. Nastrój wśród obecnych panował jaknajserdeczniejszy, będący wyrazem nietylko zainteresowania samem strzelaniem, ale i objawem sympatyi dla nowosądeckiego Związku Strzeleckiego.



Wielki pożar w Borysławiu: Pożar zbiornika ropnego (o pojemności 400 wagonów) tow. akcyj. „Galicya".



Śmierć zasłużonego męża Francyi: Karol Ludwik Freycinet.



Polityczne odwiedziny: Królestwo angielscy, podczas swego pobytu w Rzymie, odwiedzają w towarzystwie włoskiej pary królewskiej grób „nieznanego żołnierza".

Wielki pożar w Borysławiu.

W kopalniach nafty straszne są pożary. Taki pożar wybuchł znowu dnia 15 maja w Borysławiu: zapalił się mianowicie zbiornik ropy o pojemności 400 wagonów, własność tow. akcyjnego „Galicya". Olbrzymi słup dymu, strzelający ku niebu płonącą ropą, przedstawiał groźny widok, jak to widzimy na naszej fotografii. Straty naturalnie są olbrzymie.

Śmierć zasłużonego męża Francyi.

W Paryżu zmarł jeden z najdzielniejszych współpracowników Gambetty z czasów wojny franko-pruskiej, jedna z najwybitniejszych postaci współczesnej Francyi, Karol Ludwik Freycinet. Z wykształcenia inżynier dał się poznać z kilku dzieł fachowych o wartości trwałej i pracował gorliwie aż do chwili, gdy wielki znawca ludzi Gambetta powołał go do współpracy w nieśmiertelnem dziele ratowania zagrożonej zagładą Francyi. Jako pomocnik Gambetty w ministerstwie wojny Freycinet rozwinął niezwykle energiczną działalność stwarzając wprost z niczego nową armię, która stanęła do walki z najeźdźcą niemieckim.

W ciągu czterech miesięcy stanęło w szeregu 238 bateryi i 600.000 ludzi! Fabryki w Tulle, w Saint Etienne i w Châtellerault wyrabiały setki karabinów dziennie. Zręczny pomysł magazynów ruchomych, zainstalowanych w wagonach na głównych stacyach ułatwił zaprowiantowanie i zaopatrzenie armii. Przypomnijmy sobie, że te wojska nowe, zmusiwszy do odwrotu von der Taun'a pod Coulmiers i wielkiego księcia Meklemburskiego pod Beaugency, zmusiły również księcia Fryderyka Karola i całą jego armię przybyłą marszem forsowym z pod Metzu do siedmiodniowych bojów na szerokich polach bitwy pod Mans.

Genialny organizator, wytrawny polityk i znakomity mówca, zmarły mąż stanu, niemal do końca życia grał w życiu Francyi wybitną rolę bądź jako poseł, bądź jako czterokrotny minister robót publicznych, wojny i spraw zagranicznych, bądź jako czterokrotny prezes gabinetu. Wybrany do senatu w roku 1876 stale odtąd w ciągu 44 lat na fotelu senatorskim zasiadał. W czasie wojny od r. 1915 do 1916 był ministrem stanu. Wreszcie w roku 1920 po wieloletniem posłowaniu do wyborów senatorskich już nie stanął. Członek Akademii nauk od roku 1882 wszedł do Akademii francuskiej w roku 1890 zająwszy fotel opuszczony przez Emila Augier. Witał go wówczas p. Greard, mówiąc: „Mam honor powitać w osobie pańskiej jedną z potęg umysłu narodowego, którą przynosisz pan z sobą!"

Polityczne odwiedziny.

Polityka angielska kieruje się od wieków jedną i tą samą zasadą: nie dopuścić, aby pod bokiem Anglii zbyt rozrosło się i nabrało znaczenia któreś z państw, mogące potem zagrażać interesom angielskim. W wojnie światowej stanęła Anglia po stronie Francyi przeciw Niemcom, konkurującym z nią bardzo skutecznie na obu półkulach, pokonawszy wroga, rozpoczęła bezzwłocznie do niego umizgi, aby w ten sposób szachować Francyę. Obecnie, gdy ta ostatnia z całą energią zabiera się do przeprowadzenia postanowień traktatu wersalskiego i ma wszelkie dane zostania pierwszą potęgą kontynentu europejskiego, Anglia szczególniejsze swe sympatye zwraca w stronę Włoch, aby w ten sposób przeszkodzić utworzeniu się w Europie państw łacińskich.

Następstwem tego nowego kierunku w polityce angielskiej były ostatnie odwiedziny angielskiej pary królewskiej w Rzymie, mające stwierdzić, według zapewnień prasy obu tych narodów, odwieczną przyjaźń, jaka zawsze łączyła Rzym z Londynem, gdy natomiast bezstronny obserwator zdaje sobie z tego sprawę, że Anglia nigdy zbytnio nie liczyła się z Włochami, uważając je za państwo drugiej klasy i nie obawiając się jego współzawodnictwa przy całej ekspanzyi Zjednoczonej Italii, aby odegrać w świecie politycznym pierwszorzędną rolę. Przyjazd angielskiej pary królewskiej do Rzymu nastąpił w dniu 7. maja b. r., od chwili owacyjnego powitania na dworcu Termini do odjazdu byli goście angielscy wyróżniani widocznie przez sfery dworskie i rządowe, ludność nie szczędziła im też objawów sympatyi. Król Jerzy i królowa Mary złożyli z okazyi pobytu w Rzymie swą wizytę i w Watykanie, również i tam przyjmowani bardzo gorąco. Król angielski odbył szereg konferencyi z najwybitniejszymi przedstawicielami współczesnych Włoch, oboje królestwo zwiedzili najciekawsze zabytki Wiecznego Miasta i okolicy i złożyli hołd pamięci „nieznanego żołnierza" oraz Anglikom, poległym pod Asiago i nad Piawą.



Król Syamu historykiem Polski: Królowa syamska z swym pieskiem faworytem w samochodzie.



Król Syamu historykiem Polski: Król Rama VI. w swym zwykłym stroju.

Król Syamu historykiem Polski.

Powiew zachodniej kultury staje się coraz bardziej widocznym nawet i na Dalekim Wschodzie, wśród ludów, które osiągnęły wprawdzie wysoki stopień cywilizacyi, ale przez Europejczyka uważane były za zacofane. Jest to następstwem coraz silniejszego łączenia się Wschodu z Zachodem, który rozszerza tam coraz widoczniej sferę swych interesów. Młodzi władcy wschodni zrywają z tradycyami dziadów i ojców, wykształceni w Europie przykładem swym pociągają także i ludność, która modernizuje się w sposób aż nazbyt wyraźny.

Państwo „białego słonia", Syam, do niedawna nie mające nic wspólnego z Europą, od chwili wstąpienia na tron króla Ramy VI., wychowanka uniwersytetu w Oxfordzie, na drodze europejskiej kultury wyprzedza znacznie swych bliższych i dalszych sąsiadów. Młody władca, wykształcony w Europie i duchem jej przejęty, reformy rozpoczął od swojego dworu, europeizując go i odbierając mu dawny egzotyczny charakter, jakim odznaczał się jeszcze za czasów jego ojca, króla Chulalongkorna, który nosił na sobie mundur europejskiego kroju, ale wierny był tradycyom swych przodków.



Nowy komendant P. P. w Katowicach: Major Karol Niewiadomski

Król Rama VI., ożeniony z wnuczką króla Mongkut, baczną uwagę zwrócił przedewszystkiem na wychowanie fizyczne młodzieży, zakładając i popierając rozszerzone dziś po całym kraju organizacye skautowskie, noszące nazwisko „srogich tygrysów", a wzorowane zupełnie na podobnych angielskich. Pomaga mu w tej akcyi jego wuj, minister spraw zagranicznych, książę Devawongse.

Jest także młody władca Syamu autorem podobno nie pozbawionych znaczenia prac historycznych, między niemi dotyczących także i Polski, a biblioteka królewska w Bangkoku zaopatrzoną jest obficie w szereg najnowszych publikacyi zwłaszcza angielskich i francuskich. Król Rama przetłómaczył na język syamski i odpowiednio uscenizował sztukę Tristana Bernarda „Kurnik", graną z powodzeniem na scenie pałacowej wobec królewskich gości. Reformy królewskie dotyczą także insygniów państwowych, na których miejsce „świętego słonia" zajmują obecnie bardziej europejskie orły.

Nowy komendant P. P. w Katowicach.

Z Katowic donoszą nam, że znany w szerokich kołach towarzyskich Krakowa b. komendant oddziału policyi konnej i zastępca komendanta P. P. w Krakowie p. Karol Niewiadomski, który przed rokiem powołany był do Katowic celem organizowania policyi województwa śląskiego, po spełnieniu tego zadania przeniesiony został z głównej komendy policyi i mianowany komendantem policyi na miasto Katowice i cały okręg fabryczny.

Powołanie p. Niewiadomskiego na to odpowiedzialne stanowisko ludność miasta przyjęła z żywem zadowoleniem, p. Niewiadomski bowiem w ciągu jednorocznego urzędowania swego na Górnym Śląsku umiał zaskarbić sobie sympatyę taktownem postępowaniem, godząc obowiązki urzędowe z interesem ludności.

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



Helena Nałęcz Gembicka (art. dram.) Lwów.



Ludwika Niewiadomska Kraków.



Lissa Lissowska Lwów.

Kult piękna jest jednym z ważniejszych czynników w duchowym rozwoju ludzkości. Jego dziełem jest świat sztuki — artystyczny dorobek wieków. Ale sztuka jest tylko indywidualnem odbiciem i ujęciem piękna w naturze. Piękno to odnajdujemy i podziwiamy we wszystkich zjawiskach i tworach przyrody, a przedewszystkiem u królowej stworzenia — kobiety. Twarz kobieca — ten najwdzięczniejszy temat dla artystów, tworzących poematy malarskie, jest w naturze najbardziej bezpośrednim wyrazem piękna. Tutaj natura idzie w zawody ze sztuką. Dlatego też nie są pozbawione znaczenia artystycznego urządzane we wszystkich krajach i cieszące się ogromnem powodzeniem konkursy piękności dla kobiet. Takie konkursy, urządzone w Krakowie na kilku balach podczas ubiegłego karnawału, wzbudziły duże zainteresowanie, choć były tylko ograniczone do szczupłego grona uczestniczek zabawy. To zachęciło nas do ogłoszenia

KONKURSU NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



Anna Zajączkowska, Sosnowiec.

Panie pragnące stanąć do tego konkursu zechcą przesłać pod adresem Redakcyi „Nowości Illustrowanych", Kraków ul. Kazimierza Wielkiego 95. swą **fotografię z własnoręcznym podpisem.** Do fotografii należy dołączyć wypełniony blankiet, który znajduje się na ostatniej stronie naszego pisma. (Fotografie nadesłane przez osoby trzecie nie będą uwzględnione). Nadsyłane fotografie będą oddane do oceny specyalnej komisyi artystycznej a ta zaopiniuje, które z nich zostaną zamieszczone w „Nowościach Illustrow." **w gronie najpiękniejszych kobiet.** Podobizny te będziemy zamieszczać w miarę ich napływania w każdym numerze. Po wyczerpaniu wszystkich nadesłanych fotografii nastąpi **rozstrzygnięcie konkursu przez głosowanie Czytelników „Nowości Illustrowanych".** Będą **trzy nagrody** 1) roczna prenumerata „Nowości Illustrowanych", 2) półroczna i 3) kwartalna. Nadto wszystkie nagrodzone panie otrzymają **artystycznie wykonane dyplomy pamiątkowe.** — Termin głosowania i jego warunki podamy później, obecnie zaś zapraszamy panie do wzięcia udziału w konkursie i nadsyłania nam swych fotografii.

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych“ do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis):

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie)

Miasto (ostatnia stacya pocztowa)

Ulica Nr.

Stanisław Hachaj
ul. św. Tomasza l. 9.
Magazyn i pracownia obuwia damskiego, męskiego i dziecięcego.
Najnowsze fasony angielskie, francuskie, warszawskie, stale na składzie w wielkim wyborze.

Żądajcie pocztówką, nasz najnowszy cennik wszelkiego rodzaju manufaktury, Ekspedycji przesyłek pocztowych „Nadzieja“ w Łodzi ul. Kilińskiego 40/B.K., który natychmiast będzie wysłany zupełnie bezpłatnie i przyniesie Sz. P. dużo korzyści.

OGŁOSZENIA

FIRANKI, PORTJERY i KAPY NA ŁÓŻKA
poleca w wielkim wyborze i po cenach bardzo przystępnych firma
KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35

Księga pamiątkowa wielkiej wojny
Jest do nabycia w Admin. „Nowości Illustr.“.

Materyały wełniane!!
na suknie i kostyumy damskie,
na ubrania męskie
płaszcze i raglany.
Markizety, batysty, woale, perkale, zefiry i szyfony
wszystko w wielkim wyborze i po cenach konkurencyjnych
poleca
KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).



Specyalny skład i pracownia wózków dziecięcych
J. BOTWIN
Kraków, ulica Floryańska L. 30.

! DO SPRZEDANIA !
Lustro z konsolą
2 szafki nocne
2 stoliki na kwiaty.
Wiadomość: ul. Kazimierza Wielkiego 95.

Zakład techniczno-dentystyczny
N. KLEINBERGERA
Kraków, Szewska 27 I p. (narożnik plant)
otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.

Kim jesteś? Kim być możesz?
Charakter, zdolnosci, zalety i wady określa Szyller Szkolnik (autor prac naukow). Napiszcie imię, nazwisko i adres Informacje gratis. Dla badań osobistych przyjmuje od godz. 12—7 w. Nadzwyczaj ciekawej treści książki, katalog ilustrowany darmo. Na przesyłkę dołączyć znaczek pocztowy. Adres:
Psycho-grafolog Szyller-Szkolnik, Warszawa Piękna 25.

6%-owe PAŃSTWOWE BONY ZŁOTOWE
do nabycia
w Banku Małopolskim S. A.
w Krakowie, Rynek l. 25.
oraz jego oddziałach:
w Bielsku, Jaśle, Lwowie, Łodzi, Podgórzu, Rzeszowie, Stanisławowie, Tarnowie, Warszawie i Zakopanem.
Bony skarbowe zabezpieczają posiadaczy **przed spadkiem marki polskiej.** Kasy skarbowe przyjmują je na opłatę podatków i danin państwowych po najwyższym kursie zakupu.
Bony u siebie nabyte przechowuje Bank bezpłatnie.

Dr Witold Lipiński
ordynuje w chorobach
skórnych
i wenerycznych
Aleja Mickiewicza L. 14.
(róg ulicy Czystej)
od godz. 2—5 popoł.

REKLAMA
jest najlepszym środkiem do rozwoju
HANDLU i PRZEMYSŁU

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.